

**EGZEMPLARZ PŁATNY**

Nr. 7 lipiec-wrzesień 2022 r. INS rej. 15/20

# WIOSKA NA KRAŃCU



---

KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY STOWARZYSZENIA  
„W STAREJ GMINIE” MIEJSCOWOŚCI HUTA KRZESZOWSKA

---



„Można nawet zabłądzić, lecz po drugiej stronie  
nasze drogi pocięte schodzą się z powrotem”

### Jego Magnificencja Marcin Fołtynowicz

Po lokowaniu, za sprawą kalwina Adama Gorajskiego, nowego grodu nad Ładą, w oparciu o nowoczesne i postępowe prawo magdeburskie, które dawało możliwość osiedlania się w takich ośrodkach wszelkim przybyszom, (rzecz jasna na ściśle określonych zasadach), potwierdzonym przez króla Stefana Batorego 10 września 1578 roku we Lwowie, zaczęli powoli przybywać do niego najstarsi mieszkańcy.

Wówczas, tzn. w pierwszym 25-leciu jego istnienia, oprócz chłopów, zbiegłych z terenu Ordynacji Zamojskiej oraz osadników z Małopolski, czy nawet z Mazowsza, pojawili się w nim także... Ormianie. Niestety nie znamy do końca kulisów ich przybycia do miasta Białgoraja (dziś Biłgoraja), zwłaszcza na początku XVII wieku.

Lecz to jest faktem. Nie da się bowiem zaprzeczyć temu, iż w tym niewielkim wówczas miasteczku żyła na przełomie XVI i XVII w. rodzina o specyficznym nazwisku, bardzo przypominającym społeczność ormiańską, z jej najśłynniejszym członkiem, którym nader szybko okazał się... Marcin Fołtynowicz.

A na czym właściwie polegała ta jego wyjątkowość? Przechodząc od razu do rzeczy wspomnę tylko, że aż trzynastokrotnie pełnił funkcję najwyższego przełożonego trzeciej co do wielkości oraz znaczenia uczelni w Rzeczypospolitej, (po Krakowie i Wilnie), otwartej w październiku 1594 w Zamościu, na mocy bulli papieskiej Klemensa VIII, aczkolwiek za *dies natalis* tego Uniwersytetu uważa się dopiero 15 marca następnego roku.

Wypada dodać jeszcze, że właśnie on, poza jednym wyjątkiem, był jej rektorem najwięcej razy, gdyż w niemal dwustuletniej działalności tego *quasi* uniwersytetu dorównał temu wykształconemu człowiekowi... tylko jeden z profesorów w historii... (tj. Adrian Krobski, który okazał się jej przełożonym dokładnie 15 razy).

Ale zacznijmy od początku. Ów wybitny Marcin Fołtynowicz urodził się w grodzie nad Ładą ok. 1604 roku, jako starszy syn Walentego. A zatem przyszedł na świat w ciągu pierwszego dwudziestopięciolecia powyższego miasta. Zapewne dzięki dobrej sytuacji materialnej rodziców mógł ten mały biłgorajczyk, jako że liczył wtedy 7 wiosen, rozpocząć swą dwupoziomą edukację we wspomnianej uczelni, w oparciu o tzw. siedem sztuk wyzwolonych, trwającą łącznie aż 11 lat.

Obejmowała ona gramatykę, dialektykę (logikę), retorykę, geometrię, arytmetykę, astronomię i muzykę oraz takie przedmioty jak: język polski, łaciński i grecki, razem z ich składnią, a także religię, historię, matematykę, metafizykę, filozofię naturalną, połączoną z polityką, ponadto prawo, jak również elementy medycyny z elokwencją (krasomówstwem) włącznie.

Profesorem Marcina Fołtynowicza został zapewne Kacper Trądkowski, nowy doktor filozofii, a zarazem wykładowca analogii (gramatyki), poezji i retoryki, przybyły do Zamościa w tym samym roku, co ten student, tyle że z... Krakowa. (Zmarł jeszcze przed zakończeniem nauki przez Marcina, tj. w 1620 roku).

Co ciekawe, w tejże Wszechnicy kształcili się poza nim jeszcze inni przedstawiciele owej niezwyklej rodziny, począwszy od bratanków, po jego własnego syna Kazimierza.

Dzięki studiom w równie sławnej akademii, jak krakowska czy wileńska, dołączyli oni wszyscy już w poł. XVII

w. do grona najznamienitszych obywateli ówczesnego państwa polskiego.

Albowiem przez jej mury przewinęło się w międzyczasie wielu wybitnych ludzi, począwszy od Panów na Zamościu – Tomasza oraz Jana Zamoyskich, ordynatów *et patrones protectores Academiae Zamoscensis*, przez późniejszych biskupów przemyskich, w tym Pawła Piaseckiego, który sprowadził franciszkanów do Biłgoraja w 1644 roku, po potomków takich znanych rodów szlacheckich, jak Sobiescy, Potoccy, Żółkiewscy, czy Ostrorogowie. Zgodnie z dewizą tej „szkoły cywilnej” wszyscy oni mieli „żyć ku pomnożeniu chwały Bożej oraz pożytkowi Jego Królewskiej Mości i Rzeczypospolitej”.

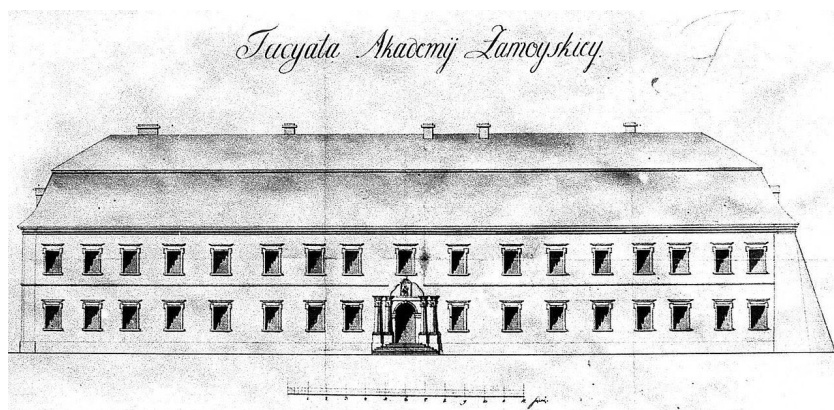
Ukończywszy w niej naukę (ok. 1623 roku), najzacieśniej mieszkaniec grodu nad Ładą postanowił związać się na zawsze ze swoją *Alma Mater* i już przed 1625 został w niej wykładowcą poezji, a po kilkunastu latach także filozofii. Zapewne tutaj też ożenił się w międzyczasie z Elżbietą z Blochów i osiadł na stałe w Zamościu, gdzie przyszedł na świat jego syn Kazimierz.

Po raz pierwszy został rektorem miejscowej Akademii dopiero w 1639 roku. Obejmując tak ważny urząd nie wiedział wtedy, iż dołączy szybko do grona pięćdziesięciu najwybitniejszych profesorów w jej historii, pełniących tę odpowiedzialną funkcję, ani tym bardziej, że będzie nią administrował najwięcej razy z nich wszystkich (poza Adrianem Krobskim).

Po swej kolejnej promocji doktorskiej, tym razem na wydziale obojga praw (w 1644), zdobył w powyższym mieście, poza gruntowną wiedzą i ważnymi urzędami, również wysoką pozycję i względy trzeciego ordynata – Jana Sobiepana Zamoyskiego, czego wielu profesorów mu najzwyczajniej zazdrościło, a zwłaszcza wybitny pamiętnikarz zamojski, autor cennego diariusza Bazyli Rudomicz, jego zawzięty rywal.

Jeśli chodzi o zasługi Fołtynowicza, dał się przede wszystkim poznać jako dobry zarządca, szczerze zatroskany o losy swej uczelni. Gdyby ktoś nie wiedział, to jej budynek, który przetrwał do naszych czasów w Zamościu, został wzniesiony właśnie za jego pierwszego rektoratu i służył potem (tj. po zamknięciu Akademii), jako zwykła szkoła.

Również jego staraniem zamojska Wszechnica, dzięki wsparciu biskupa Jana Chrzyciela Zamoyskiego, za zgodą papieża Innocentego X, otrzymała w 1648 roku nową bullę, zatwierdzającą wcześniejsze postanowienia Stolicy Apostolskiej, wydane przez



Gmach Akademii Zamojskiej od czasów rektora Fołtynowicza do 1810 roku

Klemensa VIII (z 1594) i Pawła V (z 1617) i po raz kolejny otworzyła nieczynny wydział teologiczny, co podniosło jej rangę do pełnego uniwersytetu.

Ponadto jako asesor, a później sędzia Trybunału Zamojskiego, wraz z wykładowcami Benedyktem Żelechowskim, a następnie z Wojciechem Gryglickim, egzaminował tu od połowy XVII w. kandydatów na stopień doktora obojga praw, dzięki czemu przyczynił się do wykształcenia wielu doskonałych notariuszy publicznych. (Każdy pisarz miejski w tym czasie, a więc także biłgorajski, musiał przejść odpowiednią naukę w tej uczelni, doktorami zostawali zaś ci, co sami później kształcili innych w prawie).

W uznaniu zasług tego biłgorajanina młody ordynat, już po wzniesieniu nowego budynku akademickiego, dał mu w dzierżawę (nie miał bowiem prawa niczego wydzielić z Ordynacji Zamojskiej), część swojej wsi Szopinek, z której Fołtynowicz miał korzystać do końca swojego życia.

Co najważniejsze, jako pierwszy z profesorów Akademii mógł jeszcze dodatkowo zamieszkać, wraz z całą swoją rodziną, z woli właściciela Zamościa i całego Państwa Zamojskiego, (bo tak nazywano ich latyfundium), w tzw. „Kamienicy Morandowskiej”, czyli najpiękniejszej, wzorcowej willi włoskiej na Rynku zamojskim, zbudowanej przez słynnego architekta tego miasta – Bernardo Morando, (pierwotnie dla jego własnej rodziny).

Po Fołtynowiczu następnym wybitnym rektorem, mieszkającym w tym budynku był Stanisław Niewieski. Wracając do naszego profesora, w czerwcu 1658 roku najślawniejszy mieszkaniec Biłgoraja został po raz dziesiąty wybrany na rektora Akademii, nieoczekiwanie dla rywalizującego z nim dziekana Rudomicza, który rzecz jasna nie obdarzył go za to sympatią, o czym świadczy dobitnie jego pamiątnik z tamtego okresu. Rok później znowu los był łaskawszy dla Fołtynowicza, następny, czyli 1660 także.

Nie przeszkadzało to bynajmniej w tym, by obydwaj wykładowcy przejeżdżali razem i to aż kilkakrotnie przez Biłgoraj w drodze do wsi akademickiej – Bukowiny, (m.in. w 1658 i w 1662), z tym że pierwszy z nich zazwyczaj jako rektor, drugi zaś jako konsyliarz, tj. osoba odpowiadająca za stan finansowy wspomnianej uczelni.

Odbierali wtedy należny im czynsz od swych poddanych, stanowiący ich roczne pensje oraz rozstrzygali sprawy sporne lub urzędowe tej gromady. Jeśli chodzi o obciążenia mieszkańców owej wsi, były one dosyć duże i niestety nieuniknione.

Przykładowo w samym 1658 tylko czynsz za jeden rok pobrany od nich wynosił ok. 700 złp., podczas gdy konia można było kupić nawet za 20 złp., a już za kilka lat wzrósł on jeszcze do kwoty 1474 złp., a więc dwukrotnie.

A dochodziły do tego jeszcze daniny w postaci 130 korców owsa, tj. ok. 65-130 metrów zboża, a także kapłonów, tzn. specjalnie tuczonych młodych kogutów, których mieli oddać 160 sztuk, czy nawet 14 kop jaj, łącznie z dodatkowym podatkiem, zwanym solnym i drewnym. Na marginesie dodam, że ich podział był powodem ciągłych kłótni pomiędzy profesorami.

Jednak kiedy zachodziła konieczność obrony tych ludzi np. przed bezprawnym zajęciem ich wiosek przez jakieś oddziały wojskowe, władze akademickie dążyły z determinacją do uwolnienia ich od kolejnych obciążeń, stanowczo im się sprzeciwiając.

We wrześniu 1661 roku zmarła nagle Fołtynowiczowi małżonka. Pół roku później (tzn. w kwietniu 1662), przyjął na starość święcenia kapłańskie i został kanonikiem Kolegiaty Zamojskiej, obecnie Katedry. (Niestety jego nazwiska nie znajdziemy na płytach

pamiątkowych wokół sąsiedniego budynku, gdyż nie był jej proboszczem, a szkoda, bo byłaby to olbrzymia pamiątka oraz promocja dla współczesnych biłgorajan).

Miesiąc po tym wydarzeniu trzynasty raz z kolei został wybrany na rektora Akademii Zamojskiej. W drodze do Bukowiny przybył wtedy po raz ostatni do Biłgoraja, gdyż zaledwie kilka miesięcy później zmarł w Zamościu, (dokładnie w pierwszej połowie stycznia 1663 roku). Tym samym nie zdążył skorzystać jeszcze z jednego wielkiego przywileju, jakim było nadanie wszystkim profesorom Akademii Zamojskiej, przez samego króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego, *nota bene* syna Gryzeldy Konstancji Zamoyskiej, siostry ordynata Jana, uprawnienia do korzystania z tytułu szlacheckiego (od 1669 roku), ale bez posługiwania się herbem, czego i tak nigdy polska szlachta nie uznała.

***Piotr Flor***  
***Prezes BTR***

Wszelkie prawa zastrzeżone ©

### Słowniczek

- *dies natalis* – dzień narodzin
- *quasi* – prawie, jak gdyby
- *Alma Mater* – Matka Karmicielka (uroczysta nazwa średniowiecznego uniwersytetu)
- *patronus protector Academiae Zamoscensis* – patron opiekun (ewentualnie także: obrońca) Akademii Zamojskiej
- *nota bene* – zauważ dobrze, w języku polskim pisane razem i używane w znaczeniu „na marginesie”, „nawiasem mówiąc”

### Ciekawostki

Do absolwentów tej uczelni należeli w tamtym czasie również tacy magnaci, jak niedoszły wojewoda kijowski Adam Kisiel, wraz ze swoim bratem Mikołajem, poległym potem pod Winnicą w bitwie z wojskami Iwana Bohuna, syn kasztelana chełmskiego – Marcin Uhrowiecki, czy syn hetmana polnego koronnego Jan Żółkiewski, będący od 1622 starostą hrubieszowskim, uczestnik przegranej bitwy pod Cecorą, którego z niewoli tureckiej wykupiła własna matka (z ciałem zabitego męża).

*Tłumaczył z łaciny P. Flor*



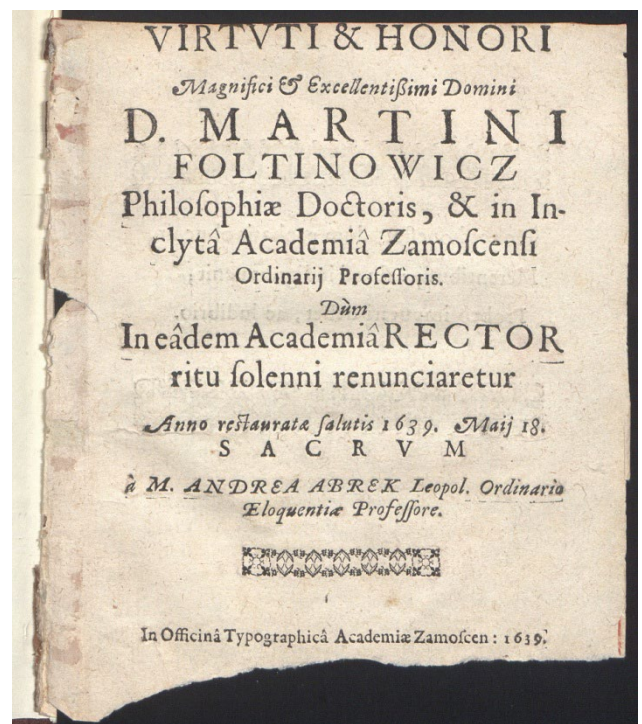


Gmach dawnej Akademii Zamojskiej obecnie



Kamienica Morandowska zwana Fołtynowską

Laudacja doktora filozofii  
Marcina Fołtynowicza rektora  
Akademii Zamojskiej 1639.



Któż z nas, po trudnych życiowych doświadczeniach, kolejnych rozczarowaniach, czy następujących po sobie seriach porażek, nie pragnie tak po prostu gdzieś uciec, zapomnieć, zacząć od nowa z czystą kartą? Tak w myśl powiedzenia "rzucić wszystko i wyjechać w Bieszczady"? Czy ucieczka od problemów jest dobrym rozwiązaniem? Jak zawsze, odpowiedzi na tego rodzaju wątpliwości dostarczyć nam może literatura.

Tym razem pragnę was gorąco zachęcić do sięgnięcia po powieści Aldony Reich. To autorka serii kryminalnej, nawiązującej do dawnych słowiańskich wierzeń („Bebok”, „Strzyga”, „Utopiec”), ale również powieści obyczajowych, takich jak: „Życie 2.0” oraz „Tylko dobrzy ludzie zostali” i „Dobre miejsce”. I właśnie tym dwóm ostatnim tytułom poświęcę niżej kilka zdań.

Zanim jednak przejdę do wspomnianych pozycji, muszę zdradzić, za co kocham powieści Aldony Reich. Bez wątpienia za niejednorodność gatunkową w obrębie danego tytułu. W jej kryminałach istotną rolę odgrywa bowiem intrygująca otoczka obyczajowa, natomiast w książkach o tematyce obyczajowej - wątek kryminalny, śledzeniu którego nie sposób się oprzeć od początku zarysowanej intrygi do samego jej końca. Kiedy dodamy do tego poprowadzony z wyczuciem wątek romansowy, otrzymujemy receptę na powieściowy sukces.

„Tylko dobrzy ludzie zostali” to jej debiut pisarski – debiut niezwykle udany, łączący w sobie wszystkie wyżej wspomniane atuty. Osia powieści uczyniła autorka ważne, a jednocześnie skandalicznie niechlubne, wydarzenie z przeszłości wsi i jej mieszkańców, spajające wspólnotę w poczuciu elementarnej ich zdaniem sprawiedliwości. Czytelnik z każdą kolejną stroną zanurza się w atmosferę pilnie strzeżonej tajemnicy, by wraz z główną bohaterką odkrywać kolejne elementy układanki i prawdziwą twarz społeczności, której przed laty świadomie wyrzekł się jej ojciec.

Aleksandra, bo o niej mowa, w swej desperackiej ucieczce przed problemami, trafia w miejsce, w którym wreszcie ma szansę złapać oddech. Okazuje się jednak, że i ono ma swoje tajemnice i rządzi się określonymi prawami. Młoda kobieta, zdeterminowana dokonać radykalnej zmiany w życiu, staje przed koniecznością zrewidowania dotychczas

pojmowanego przez siebie dobra i zła. Znajduje bratnią duszę w osobie jednego z mieszkańców - tajemniczego Jana. Zasłużony członek miejscowej społeczności, otoczony sławą dobrego, nad wyraz uczynnego człowieka, może rzucić jaśniejsze światło na wydarzenia z przeszłości wioski, ciążyące na sumieniu miejscowej społeczności.

Ola i Jan to nie jedyni pieczołowicie wykreowani bohaterowie książki.

Na uwagę zasługuje wzbudzająca powszechny szacunek staruszka, która bierze Aleksandrę pod swoje opiekuńcze skrzydła, ale także cała plejada drugoplanowych postaci, z których każda wnosi coś istotnego do fabuły.



Wielkie brawa należą się autorce za nadanie książce tak wymownego tytułu. Jestem nim zachwycona, podobnie jak całą powieścią, która w wielu momentach wybrzmiewa wręcz filozoficznie. Z pewnością skłania do refleksji nad naturą człowieka, nad tym, jak postrzegamy istotę dobra i zła - czy pojęcia te ulegają zrelatywizowaniu, czy może definicję dobrego i złego człowieka należy rozdzielić grubą, kategorię w wydźwięku kreską.

To, co ujęło mnie osobiście w tej historii to ukazanie wsi z ogromną wiarygodnością i bogactwem obyczajowych szczegółów. W trakcie lektury powróciłam pamięcią do wakacji spędzanych w gospodarstwie dziadków, wspominałam zapach i smak babcinych rarytasów, w tym pitego "prosto od krowy" mleka.



Kontynuację losów Aleksandry odnajdujemy w powieści "Dobre miejsce". Tytuł sugerujący koniec problemów i dylematów bohaterki, mógłby z powodzeniem zawierać znak zapytania. Czyżby kłopoty w raju? A jakże! Kiedy pierwsze romantyczne uniesienia mijają, do głosu dochodzi szara rzeczywistość.

Wspólna droga Oli i jej partnera zdaje się zmierzać ku rozstajom, i choć odpowiedzialność zwykle leży pośrodku, nie raz, nie dwa - miałam ochotę solidnie potrząsnąć bohaterką, by przestała szukać dziury w całym. Ileż ja się nairytowałam na nią, ileż nerwów mi zszargała! Ale właśnie przez te emocje zupełnie nie mogłam się oderwać od dalszego czytania.

Oczywiście zachowanie Oli można tłumaczyć wieloma czynnikami, choćby swoistym poczuciem straty, kiedy rodzinny dom ojca zostaje sprzedany (obraz wynoszonych z domu sprzętów, z których każdy wiąże się z jakimś wspomnieniem, rozrywa serce), a nowy właściciel daje wyraźne sygnały, że pogłębieniem znajomości z Aleksandrą jest żywo zainteresowany. „Nie, nie, nie, Aleksandro - nie tędy droga, nawet o tym nie myśl, nawet nie próbuj przekraczać granic...” - próbowałam się odwoływać do zdrowego rozsądku bohaterki, ale kiedy przyszło jej stanąć oko w oko z dawnym obiektem uczuć Jana, już w pełni solidarnie stanęłam po jej stronie.

Nie myślcie, że tylko miłosnym perypetiom autorka poświęciła cały drugi tom - nic bardziej mylnego. Aldona Reich nie byłaby sobą, gdyby nie wprowadziła wątku kryminalnego.

Dobre miejsce, w którym osiadła Ola, z którym łączy ją coraz więcej, staje przed poważnym zagrożeniem. Nadchodzi nowe, co nie oznacza lepsze - mocno zmotywowani ludzie zapragną dokonać zmian i nie cofną się przed niczym, by zrealizować swoje cele.



Nie obejdzie się więc bez ofiar łamiących serce, ale i nie zabraknie osób gotowych do poświęceń.

Czy Ola da swojemu związkowi kolejną szansę? Może ulegnie urokowi przybysza, a może znowu po prostu ucieknie przed swoimi problemami? Przekonajcie się o tym jak najprędzej! Ja najchętniej już teraz sięgnęłabym po tom trzeci, by poznać finał całej historii (jest już na ukończeniu), choć z drugiej strony będzie mi naprawdę trudno pożegnać się z bohaterami serii. Są bowiem na wskroś prawdziwi, naznaczeni przeszłością, targani wątpliwościami, stawiani wobec moralnych dylematów, nieustannie poszukujący szczęścia i spełnienia. Bez trudu przyjdzie wam się z nimi utożsamić.

Tak zwane „okładkowe sroki” z pewnością przekona strona graficzna wspomnianych książek. Okładki, jak widać na załączonych zdjęciach, są piękne, zdobione modną grafiką, rysowaną pojedynczą kreską, a format powieści - bardzo poręczny. Dodatkowym bonusem są fotografie, na których uwieczniono urokliwą Szalową – autentyczną, rodzinną wieś ojca autorki, będącą pierwowzorem miejscowości, o której mowa w książkach. Nic tylko sięgać i czytać. Miłej, satysfakcjonującej lektury!

Seria obyczajowa „Tylko dobrzy ludzie zostali”, „Dobre miejsce”

Autor: Aldona Reich

Wydawnictwo: Vectra

## BOOKIECIKOWA ROZMOWA Z AUTORKĄ ALDONĄ REICH

Aldona Reich – prywatnie i zawodowo osoba o wielu obliczach: matka, żona, filolożka, specjalistka PR, redaktor i korektor, okazjonalny fotograf, wielbicielka podróży, amatorka kawy, dobrej literatury i filmu.

Autorka trylogii kryminalnej: „Bebok”, „Strzyga” i „Utopiec” oraz powieści obyczajowych: „Tylko dobrzy ludzie zostali” (debiut literacki), „Dobre miejsce” i „Życie 2.0”.

### **Bookecik wrażeń: Co sprawiło, że pisanie powieści stało się Pani pasją?**

**Autorka:** To chyba można śmiało nazwać rodzajem terapii: odpoczywam przy pisaniu, relaksuję się, nierzadko w dialogach moich bohaterów przemycam coś, z czym w realnym życiu muszę się uporać i poszczególne sceny dają mi możliwość przyjrzenia się czemuś z innej perspektywy.



### **Bookecik wrażeń: Czego obawiała się Pani najbardziej debiutując powieścią „Tylko dobrzy ludzie zostali” i czy te same obawy towarzyszyły premierze jej kontynuacji, czyli „Dobrego miejsca”?**

**Autorka:** Oczywiście przede wszystkim obawiałam się niepochlebnych opinii: że płaskie, przewidywalne, napisane fatalnym stylem, nie wzbudza zainteresowania... I chyba właśnie ze strachu przed tym zdecydowałam się na niewielki nakład, przyjmując, że te zaledwie sto sztuk nieznacznie ograniczy zasięg ewentualnej porażki. Poszło jednak całkiem nieźle, skoro właśnie ukazał się szósty tytuł, a za chwilę będziemy rozmawiali o terminie wydania kolejnych dwóch. Jednak ten lęk o odbiór powieści przez Czytelników chyba będzie przy mnie zawsze, choć już może nie tak paraliżująco, bo staram się myśleć, że nie wszystkim musi odpowiadać pióro Aldony Reich, tak samo jak ja nie przepadam za pewnymi autorami i to jest naturalne.

**Bookieciak wrażeń: W swoich książkach świetnie oddaje Pani charakter i klimat małych społeczności. Co takiego Panią w nich ujmuje lub zachwyca?**

**Autorka:** Małe społeczności to rodzaj zabiegu, pozwalającego na niewielkiej przestrzeni i w oparciu o kilkoro bohaterów stworzyć świat skupiony jak w soczewce. Nie mogę powiedzieć jednoznacznie, czy są one idealne albo do ideału im daleko, ale są ludzkie, zwyczajne, z całym "dobrodziejstwem inwentarza". Poza tym w takim środowisku wszyscy się znają, wiedzą o sobie niemal wszystko, łatwiej jest - tak sędzę - przemycić pewne informacje, które pozwolą Czytelnikowi głębiej wejść w opowiadaną przeze mnie historię.

**Bookieciak wrażeń: Nie rozpieszca Pani swoich bohaterów – dźwigają spory bagaż doświadczeń, walczą z wewnętrznymi demonami, przeżywają moralne dylematy. Jaki cel Pani przyświeca?**

**Autorka:** Staram się zawsze pokazać ludzi z krwi i kości. Nie czarnych albo białych, tylko skrywających cały wachlarz szarości i półcieni. Każdy z nas jest dziś inny, niż był wczoraj czy parę lat temu. Ewoluuujemy, zmieniamy się, kształtują nas inni ludzie i okoliczności, zdobyte doświadczenia. Człowiek pozbawiony dylematów, refleksji, wątpliwości jest nieprawdziwy, a przy tym nieciekawym, słabo zapadającym w pamięć.

**Bookieciak wrażeń: Uwielbiam dialogi w Pani powieściach – brzmią bardzo naturalnie, tryskają inteligentnym dowcipem, ironią. Co pisze się trudniej – opisy postaci, zdarzeń czy właśnie dialogi?**

**Autorka:** Uwielbiam pisać dialogi! Sama jestem gadułą i trudno mi jakoś uwierzyć, że dałoby się posługiwać wyłącznie monosylabami, żeby się móc porozumieć. W dialogu poznajemy ekspresję bohatera, jego nawyki, osobowość. Wszelkie "ozdobniki", charakterystyczne dla danej postaci, sprawiają, że możemy ją zobaczyć i usłyszeć w wyobraźni.

**Bookieciak wrażeń: Która z pani powieści jest Pani najbliższa? Dlaczego?**

**Autorka:** Mam ogromny sentyment do każdej z moich powieści, poświęciłam im przecież mnóstwo energii, włożyłam w nie swoje emocje i uczucia. Ale, szczerze mówiąc, choć bardzo lubię swoje (jak je nazywam: nieoczywiste) kryminały, najbliższa jest mi powieść obyczajowa. I tak "Tylko dobrych ludzi..." kocham jak pierworodnego syna, "Życie2.0" to pierwsza powieść, w której pozwoliłam sobie na tak duży ładunek emocjonalny, a "Dobre

miejsce" jest wynikiem ogromnej tęsknoty za bohaterami, z którymi rozstałam się najwcześniej. Innymi słowy: kocham każdą, ale każdą inaczej.

**Bookiećik wrażeń: Uchylmy rąbka tajemnicy – w jakiej lokalizacji rozgrywać się będzie Pani kolejna powieść?**

Autorka: Zakończyłam prace nad powieścią obyczajową (z tajemnicą w tle, a jakże!), która rozgrywa się w scenerii Ziemi Lubuskiej. Mam w związku z tym pomysł, aby napisać powieść - już nawet jest jej wstępny szkic - która będzie ściśle związana z Zieloną Górą, moim miastem rodzinnym. Póki co, nie będę zdradzać gatunku, w jakim będzie ona utrzymana, ale jedno jest pewne, że postaram się sprawdzić w czymś zupełnie nowym. Mam nadzieję, że temu sprostam i Czytelnicy docenią moje starania.

**Bookiećik wrażeń:** Jestem dziwnie o to spokojna. Dziękuję za rozmowę.

**Autorka:** Również dziękuję, pozdrawiam serdecznie!

***Mariola Sokal-Dziura***  
***(@bookiećik\_wrazen)***







„Wolałbym choć raz poczuć zapach jej włosów, smak jej ust, jeden dotyk jej dłoni, niż żyć wieczność bez tego...”

Jeżeli szukasz filmu na spokojny wieczór i marzy ci się „ucieczka” do świata romansu w starym dobrym stylu to „Miasto aniołów” w reżyserii Brada Silberlinga z 1998r. będzie idealnym wyborem dla Ciebie.

Seth (zagrany przez znanemu wszystkim Nicolasa Cagea, tym razem w nieco innym wydaniu) jest aniołem żyjącym w Los Angeles, który skrupulatnie wypełnia swoje obowiązki- wysłuchuje ludzkich myśli, pomaga, odprowadza dusze do nieba. Bardzo lubi swoją pracę i nigdy się nie buntuje. Wszystko zmienia się jednak w momencie, gdy nieoczekiwanie poznaje panią kardiochirurg Maggie Rice (Meg Ryan, bohaterkę „Kiedy Harry poznał

Sally” czy „Top Gun”), wbrew sobie i zasadom, zakochuje się w niej od pierwszego wejrzenia. Lekarka przeżywa wówczas bardzo trudny czas, właśnie straciła pacjenta na stole operacyjnym i obwinia się o jego śmierć. Seth postanawia jej towarzyszyć, wpierać i pomagać. Niestety nie jest to takie proste. Wyobraźmy sobie nie móc poczuć chociażby dotyku dłoni ukochanej osoby. Anioł postawia więc podjąć diametralną decyzję, której nie będzie mógł już zmienić. Rezygnuje z nieśmiertelności i staje się człowiekiem, aby być z ukochaną Maggie. Jednak jak wszyscy dobrze wiemy, życie ludzi to nie sielanka, jest bardzo nieprzewidywalne, o czym przyjdzie mu się dowiedzieć już niebawem...

„Miasto aniołów” to wzruszający i piękny film o nietypowej miłości oraz pokazujący przewrotność losu. Aktorzy poradzili sobie świetnie, wytworzyło się między nimi charakterystyczne dla bohaterów romansów napięcie, przez co widz z przyjemnością i zaciekawieniem śledzi ich dalsze losy. Nie ma tutaj sztuczności. Przeżycia, liczne problemy oraz rozterki głównych postaci wydają się być autentyczne. Wiele scen jest nieprzewidywalnych, potrafią zaskoczyć nieoczekiwanym zwrotem akcji. Jestem pewna, że odbiorca na długo jeszcze po zakończeniu seansu, będzie myślał do niego wracał.

Ogromne znaczenie ma muzyka, która tworzy melancholijny, spokojny, ale momentami również tajemniczy nastrój. Dominują tutaj fortepian, gitara i skrzypce. Piosenki wykonywane przez znanych wykonawców- takich jak Jimi Hendrix, Sarah McLachlan, U2, czy nawet słynna piosenka zespołu Goo Goo Dolls „Iris”, (którą na pewno niejeden z nas

słyszał, nie zdając sobie nawet sprawy, że pochodzi z tej produkcji ) także sprawiają, że film jest niezwykle klimatyczny i spójny.

Serdecznie wszystkim polecam „Miasto aniołów” i życzę przyjemnego oraz zapadającego w pamięć seansu.

*Aleksandra Chutkowska*



### Historie niezwykłe

W obecnym wydaniu kwartalnika pragnę przedstawić historię związaną z moją rodzinną miejscowością – z Malennikiem. Nie tyle wsią, bo tej jeszcze nie było, co z folwarkiem ordynackim i jednym z jego dzierżawców – z panem Stanisławem Kamińskim. Jednak nim przejdę do sedna tematu, parę słów wstępu.

#### Dwór Malennicki

Poniżej zamieszczam odpis notatki znalezionej gdzieś na stronie internetowej. To ciekawa i interesująca informacja, tym bardziej, że mająca potwierdzenie w źródłach historycznych.

*(...) Według najstarszej informacji pochodzącej z 1617 roku można się dowiedzieć, że w folwarku Malennik należącym do Krzeszowa trzymano pawie. Kolejna wzmianka o folwarku pojawia się w 1638 roku przy opisie inwentarzowym Krzeszowa. Brak jest tu wiadomości o folwarku, jego wielkości czy rozplanowaniu do końca XVIII wieku. Sytuacja zmienia się w XIX wieku. Przegląd materiałów archiwalnych rozpocząć można od planu z 1826 roku. Folwark swoim kształtem przypomina dzisiejsze założenie obejmując teren dający się wpisać w prostokąt. Na styku stał dwór. Dojazd do założenia prowadził od strony zachodniej. Na planie występuje również duży zbiornik wodny. W pierwszej połowie XIX wieku (1830 rok) dzierżawcą folwarków Malennik i Łazy był Stanisław Kamiński. W tym czasie folwarki przynależały formalnie do klucza księżpolskiego. W 1850 roku został wybudowany nowy dwór. Oprócz tego została restaurowana połowa domu starego z przeznaczeniem na kuchnię. W 1857 roku dzierżawcą folwarku zostaje Wybranowski Gracjan. Około 1860 roku został wybudowany czworak dla służby folwarcznej. W 1865 roku wybudowano wiatrak – holender. W folwarku istnieje także gorzelnia, kuźnia, budynki inwentarskie. Powiększony został ogród ozdobny. Wszystkie budynki inwentarskie i mieszkalne służby folwarcznej były drewniane, wyjątek stanowił murowany dwór. Z układu alejek oraz układu zieleni wynika, że park prowadzony był w duchu kompozycji krajobrazowo-naturalistycznej. Około przełomu wieków XIX i XX, doszło do przebudowy folwarku. Przebudowa ta wiązała się z wymianą budynków drewnianych na murowane. Dotyczy to spichlerza, stodoły, stodoły z menażem i obory”.*

A oto co o Malenniku (Malinniku) pisze oficjalista ordynacki – pan Mikołaj Stworzyński w swoim dziele o Ordynacji Zamojskiej, powstałym w drugiej połowie dziewiętnastego wieku.

*„W Malinniku, folwarku należącym do Krzeszowa utrzymywano pawie. Roku 1617 Inwentarz Krzeszowa pod litera 7. Inwentarz Krzeszowa z 1638 roku wymienia jeziora pod opisaniem folwarku na Malinniku tak, za Sanem jezior 4. Stara jedna tonia, Gostków. Koziarnia, pięć toni na nim. Gazdowa, trzy tonie na nim. Z tej strony Sanu jezior pięć; Krynka, jedna toń. Orle, cztery tonie. Okrągła, jedna toń. Wilczkowa, toni pięć. Kaczyniec, toń jedna. W Malinniku w 1785 roku grad i burza znaczne szkody poczyniły (...).”*

Pierwszym „historycznym” dzierżawcą, a w zasadzie pierwszym, który zaistniał w oficjalnej dokumentacji majątku, był pan Stanisław Kamiński. To zarazem najdłużej urzędujący arendarz Malennika. Był synem Kazimierza Kamińskiego i jego żony Marianny z Żaboklickich (miejsce urodzenia i zgonu nie jest mi znane). Obejmując Malennik był młodym człowiekiem, dlatego do pomocy miał mamę Mariannę Kamińską, która zmarła w 1855 roku, w wieku osiemdziesięciu lat i pochowana została w Krzeszowie na tamtejszym cmentarzu. Dla dopełnienia tematu dodam, że ta była córką Józefa Żaboklickiego i Agaty z Pintoszewskich.

Około 1830 roku poślubia Kamiński Marcelinę Chorzewską, pannę urodzoną w Płocku i podobnie jak jej małżonek wywodzącą się ze szlacheckiego rodu. Z odnalezionych dokumentów wiem, że ta przeżyła męża o kilka lat. Zmarła w 1886 roku w Chełmie i tam została pochowana. Wiem także, że małżeństwo było bezdzietnym, niemniej zachowało się kilka ciekawych faktów z czasu ich wspólnego życia. Pierwszy na który zwróciłem uwagę miał miejsce w 1834 roku. Wtedy to w sąsiednim Jasienniku znaleziono porzucone dziecko płci męskiej. Kronikarz piszący te słowa zauważył, że ten urodził się w rodzinie starozakonnych (Żydów). Niby nic nadzwyczajnego. A jednak!

Zgubą zainteresowali się Kamińscy, którzy postanawiają przyjąć chłopca na wychowanie. Zapewne nie chodzi tutaj o pełną adopcję, niemniej ci traktują dziecko jak własne, chrzcząc je w krzeszowskim kościele. Więcej! Nadają mu chrześcijańskie imiona oraz nowe nazwisko. Odtąd dziecko zaistnieje dla świata jako Kazimierz Teodor Malinnicki. Za rodziców chrzestnych, a być może również przybranych, mając Marcelę i Stanisława Kamińskich, którym w chrzcie towarzyszyło małżeństwo Halsewiczów, Szymon i Karolina - poborca podatkowy z żoną. Jakie były dalsze losy dziecięcia? Nie wiem. Pewnie dożył dorosłości, jako że nie znalazłem śladów, które wskazywałyby na to, że ten zmarł w dzieciństwie.

Po czasie odnalazłem ciekawy dokument mówiący, że Kazimierz Malenicki w 1871 roku poślubił Anielę z Zielińskich Pałkiewiczową, urodzoną w Kraśniku, a zamieszkałą w Lublinie. Własnoręcznie złożony podpis przez Malinickiego świadczy, że ten otrzymał staranne wykształcenie. Co było potem? Z tego co ustaliłem, Kazimierz Malinicki był następnie dzierżawcą folwarku we wsi Aleksandrów k/Józefowa. Jeżeli rzeczywiście tak było, że dziecko znalezione w Jasienniku i zarządca majątku Aleksandrów to ta sama osoba, to jest to historia jak z bajki. Wszystko jednak skazuje na to, że rzeczywiście tak było.

Kolejne ciekawe wydarzenie miało miejsce w 1837 roku. Może to jest moja nadinterpretacja, ale pozwolę sobie na napisanie kilku zdań. W tymże roku, pewna służąca będąca na posługach u Państwa urodziła córeczkę. Niby nic nadzwyczajnego, ale jak zawsze diabeł tkwi w szczegółach. Służącą ową była Anna Zawadzka, panna mająca osiemnaście lat. Ojciec dziecięcia był nieznany – przynajmniej tak stoi w papierach. I na koniec rzecz najważniejsza – chrzest. Ten miał miejsce w Krzeszowie, a dziewczynce nadano dwa imiona - Anna Marianna. Już ten fakt może świadczyć o wyjątkowości wydarzenia. Uboga służąca będąca panną, natomiast dziecko otrzymuje dwoje imion. Interesujące, prawda? Ale najciekawszą rzecz zostawiłem na koniec – rodzice chrzestni to Marcella Kamińska i Antoni Radwan. Żona dzierżawcy i leśniczy ordynacki.

Kim było dziecko, że dostało takiego zaszczytu? Naprawdę nic wam nie chodzi po głowie? Podpowiem tymi słowami: Pan i Pani bezdzietni. On chce mieć dzieci, ona nie może zająć w ciążę. Natomiast na wyciągnięcie ręki jest młoda służąca – dziewczyna jak malina.



Czy zatem dziecko spłodzone było przez Pana? Pozostawię to bez komentarza, państwu zostawiając domysły. Co na to Pani? Ta trzymała dziecko do chrztu jak swoje...

Dużo tu znaków zapytania i niedomówień jak na jedno wydarzenie. Powie ktoś z przekorą – przecież wszyscy byli zadowoleni. Rodzona matka, bo dziecko zaszczytu dostąpiło. Pan, bo do niego było podobnym. Pani, ponieważ bólem głowy nie musiała się już zasłaniać. To jednak tylko przypuszczenia. Czy bezpodstawne? Oceńcie sami.



*Dwór w Malenniku. Obecnie własność prywatna.*

*Andrzej Wójcik*



**PROTEST SPOŁECZNY**

*Witam państwa w ramach naszej debaty o bieżących problemach społecznych. Dzisiejszy temat to protesty. Przeciwno czemu pan protestuje? – pytam pierwszą napotkaną osobę na ulicy małego osiedla mieszkaniowego.*

- Ja protestuję, żeby było lepiej.

- *Ale co ma być lepiej?*

- No..., wszystko.

- *A konkretnie?*

- Konkretnie też.

- *Nie rozumiem... Ale widzę, że pojawia się inny przypadkowy przechodzień. Co pani sądzi o wypowiedzi poprzednika?*

- Tak dla porządku, to nie jestem jakiś przypadkowy przechodzień, tylko przypadkowa... znaczy się... pani. Ja go znam! On zawsze protestuje. Przeciwno wszystkiemu. I przeciw protestowaniu też.

- *A pani?*

- Ja nie, ja tylko w słusznej sprawie.

- *Może bliżej?*

- No przecież stoję już blisko, nie? A on śmierdzi wódką!

- To nie wódka... hep... tylko łyski.

- *Widzę, że państwo nie mogą się porozumieć...*

- A co tu rozumieć, pani redaktor! Ta kobieta zgubiła klucze od naszej pralni.

- Jakie klucze, jakie klucze!? Sam zgubił, pewnie w tym barze, co on tam zawsze chleje z kumplami!

- *Przepraszam państwa, ale odbiegamy od tematu. Idzie o protesty...*

- No właśnie! Ja chociaż protestuję, a ona ma wszystko w dupie.

- *Co, rzeczywiście panią nic nie interesuje?*

- Pani redaktorko, jakby mnie nie interesowało, to bym się nie zgłaszała do rady osiedla, nie?

- *Aaa, to jednak jakieś społeczne ciągoty pani ma.*

- Oj, ciągoty to ona ma! Pani redaktor, ją to już pół osiedla zna z tych ciągót.

- Ja protestuję!

- *A jednak. Proszę, niech pani wyjaśni.*

- Pani redaktor, nie ma co słuchać tego debila.

- *No wie pani, nie powinno się tak publicznie mówić o innej, obcej osobie...*

- Jakiej obcej! Toż to mój mąż!

- *Aha... To jak się państwo dogadujecie w domu?*

- To proste. On dogaduje mi, a ja dogaduję jemu.

- *Rozumiem, że wobec tego na publiczne protesty razem państwo nie chodziecie?*
- A niby czemu nie?
- *No, sądzę, że takie burzliwe kłótnie to raczej nie sprzyjają...*
- Pani redaktor! Nie ma problemu, bo wieczorem, w łóżku, to on wszystko odwołuje...

*Przysłuchiwał się: Juliusz Rafeld*

### **LAMPA**

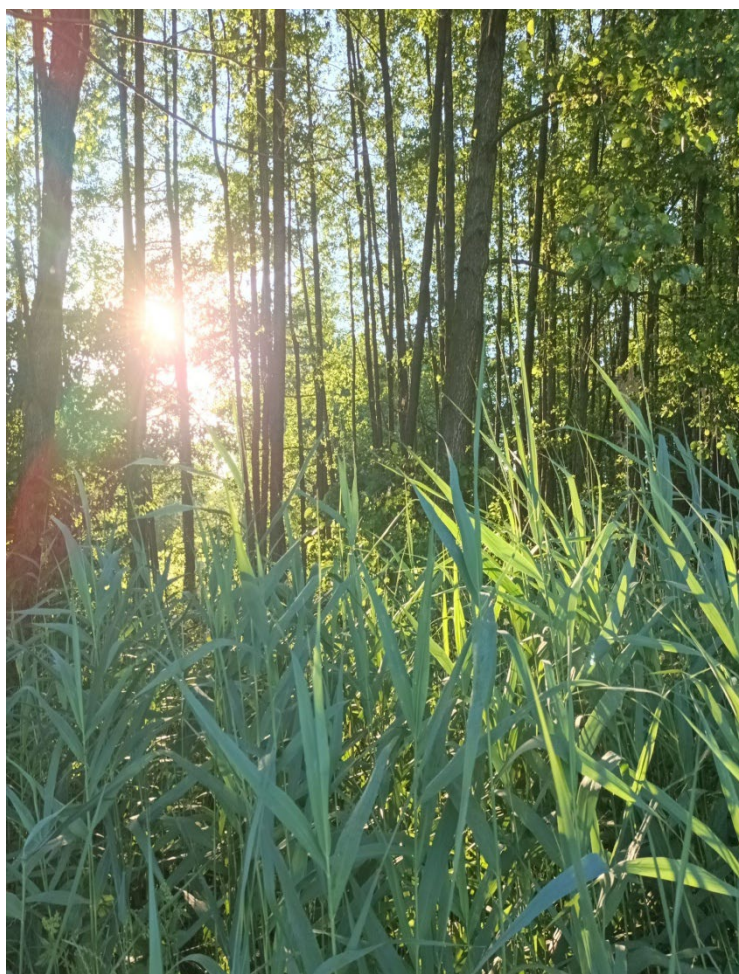
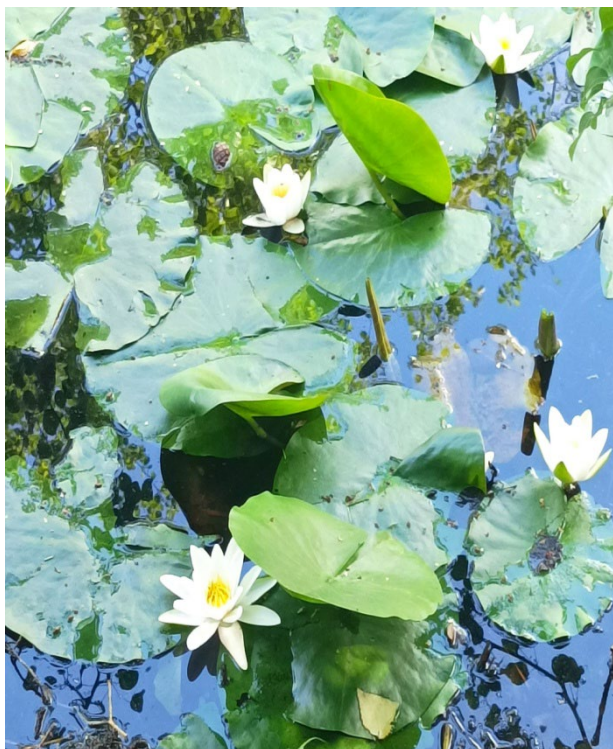
- Dzień dobry. Czy macie państwo lampy? Bo chciałem kupić lampę.
- Dzień dobry. Oczywiście, mamy. Ale jaką lampę pan by chciał?
- No..., taką żeby świeciła.
- Wiem, wszystkie świecą, ale jaki rodzaj? Są lampy wiszące, stojące i stojąco-wiszące.
- Jak to stojąco-wiszące? Lampa to chyba albo wisi – albo stoi, nie?
- Nie, proszę pana. Na przykład taka lampa może stać na podłodze na stojaku, który u góry jest wygięty tak, że sama lampa wisi i świeci w dół.
- Aha... No, to nie, ja bym jednak chciał taką co tylko wisi. Na suficie, żeby było jasne.
- Czyli pan by chciał żyrandol.
- O, to to, żyrandol! Taki na pięć żarówek.
- No, to już wszystko jasne. Czy żarówki też?
- Panie, a są żyrandole co świecą bez żarówek?
- Oczywiście, że nie...
- No to co się pan głupio pytasz? Pewnie że z żarówkami.
- Dobrze, rozumiem, ale jakie te żarówki?
- Panie, po prostu takie, żeby świeciły. Co, znowu są jakieś świecące i nie świecące?
- Nie, tym razem chodzi o pobór prądu. Zwykle biorą dużo prądu, ale mało kosztują. Oszczędne to mniej prądu, ale więcej kosztują. Są też super oszczędne.
- Dużo więcej kosztują te oszczędne? Bo ja jednak raczej chcę takie tanie.
- No..., tak średnio, to sześć razy więcej, a te super to z dziesięć razy tyle.
- To nie, panie! Tych super to się za cholerę nie opłaca. Ja się znam na liczeniu–trzydzieści lat na straganie. Gdzie ta oszczędność?
- No..., niby racja... To może zwykłe oszczędne. Świecą dwa razy dłużej.
- Ale kosztują sześć razy tyle, to się nie opłaca.

- Oplaca, proszę pana, bo one dłużej świecą. A te super oszczędne to nawet z przerwami...
- Panie, nie kombinuj pan. Na moje, to jak kosztują sześć razy więcej, a świecą tylko dwa razy dłużej, w sumie traci się trzy razy tyle. To na pięciu żarówkach ja stracę piętnaście razy!
- Zaraz, zaraz, bo jak pan tak mówi, to już mi się całkiem pomieszało...
- Synku, ja stary jestem, pracowałem na wschodzie i na zachodzie i mnie pan nie wyrolujesz! Dawaj pan te zwykłe żarówki. No i rachunek by się przydał, bo żarówki mogą dać w kosza...
- To problem, proszę pana, bo oficjalnie to żarówek już nie wolno produkować ani sprzedawać.
- Nie wolno? Ale pan je masz i sprzedajesz. To jak to jest?
- Widzi pan, według unijnej dyrektywy 8/EU/155, teraz formalnie to się nie nazywa żarówka, tylko element grzejny emitujący światło.
- Panie, u mnie to samo! Według dyrektywy 9/EU/226, zamiast kiszzonej kapusty, oficjalnie teraz to mogę tylko wyrób warzywny na kwaśno...
- No to ciekaw jestem, jak się wezmą na przykład za wódkę.
- Już, bo od maja to formalnie będzie w knajpie tylko czysta woda ognista dla dorosłych.
- To fatalnie się zanosí.
- Panie, mam znajomego, który się cieszy jak cholera, że od lipca nie można sprzedawać krzywych bananów, bo według dyrektywy 10/EU/558 nie mogą mieć więcej niż 5 stopni krzywizny.
- Ale czemu ten gość się tak cieszy?
- Opatentował prostownicę do bananów i taką kasę będzie kosił ...!

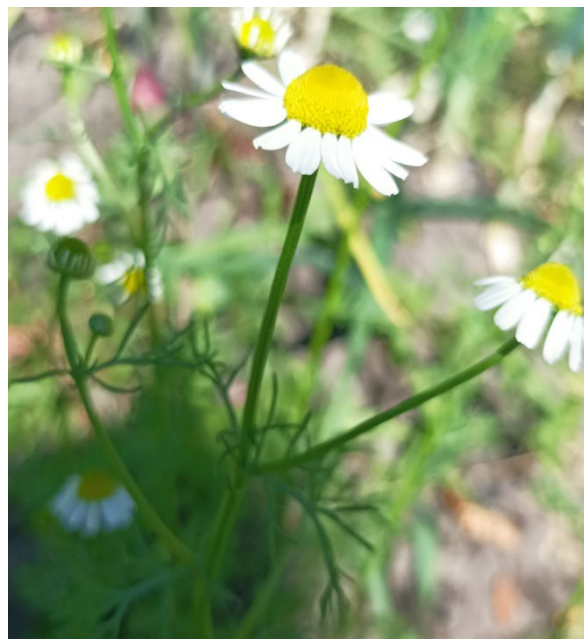
***Był świadkiem: Juliusz Rafeld***



## Z OKNA ROMANTYCZKI







*Zuza Bak*



## WIERSZE Z SZUFLADY

### Noc świętojańska

wiatr kołysze serca w radości  
noc zabłysła tysiącem świateł  
szukając przy pełni kwiatu paproci  
w północy godzinie znajdziemy szczęście

ognisko płonie sięgając chmur  
wianki do rzeki rzucają znów  
kim będzie młodzian który odnajdzie  
tego wszak panna na zawsze będzie

tańce w zapachu pradawnych ziół  
aromat płynie przez mroczny bór  
ukołysz serca a nuż i duszę  
abyś mógł pożyć o dzień lub dłużej

***Dave Vantor***

### Tam na polu

kusi  
oj kusi  
wolna myśl  
zmęczony wzrok  
koi  
przestrzeń

tam na polu  
we włosy  
wplątuje swoje palce  
wiatr  
i nuci  
nuci do ucha  
rozkoszną  
piosenkę

tam na polu  
dawno  
oj już dawno  
(z przymrużonymi oczętami)  
łapczywie  
pierś ssało

chłopskie dziecię

***Joanna Bożek-Krasoń***

## STOPKA REDAKCYJNA

**Redakcja:** Joanna Bożek-Krasoń

**Opracowanie graficzne:** Natalia Bożek

**Współpraca:** Piotr Flor, Mariola Sokal-Dziura, Aleksandra Chutkowska, Andrzej Wójcik, Juliusz Rafeld, Dave Vantor, Zuza Bak

**Adres redakcji:** Huta Krzeszowska, ul . Łąkowa 29, 37-413 Harasiuki

**E-mail:** wioska.na.krancu@wp.pl

**Tel:** 535455794

Nr w rejestrze Dzienników i czasopism: INS 15/20

**Druk:** Magenta, Bydgoszcz, Konarskiego 2 **Nakład:** 40 egz.

*Strona tytułowa- fragment wiersza „Bliscy i oddaleni” Jana Twardowskiego*